

# Flirtuję z czasem

Rozmowa z HELENĄ NOROWICZ, aktorką i modelką

wysokie obcaszki

Nr 4. Cena 14,99 zł

– Kiedy rozmawialiśmy cztery lata temu, nadal robiła pani szpagat. A jak jest teraz, po 89. urodzinach?

– Do dziś robię szpagat, staram się przynajmniej trzy razy w tygodniu. To nie jest żaden wielki wyczyn. Szpagat jest dość łatwy, wystarczy, że sięgną są regularnie rozciągane. Proszę bardzo, zaraz pani pokażę... No i widzi pani.

– Niesamowite, jak lekko go pani zrobiła.

– I na jedną, i na drugą nogę potrafię, i bez problemu wysiedzę tak kilka minut.

Długo miałam wrażenie, że starość jest i jej nie ma, bo ona w niczym mi nie przeszkadzała. Może to się wydać pani dziwne, ale ja jeszcze po osiemdziesiątce w ogóle nie czułam wieku. Nie tak dawno wydawało mi się, że jestem nie do zdarcia.

– A wiek to jakaś tam cyferka w PESEL-u.

– Dokładnie tak, cyferka bez znaczenia, która mnie nie określa, nie determinuje.

Kiedy miałam 81 lat, zostałam ikoną stylu miesięcznika „Elle”. Pamiętam, że wtedy powiedziałam: „Mam problem, jak dokładnie się wpatruję, to widzę, że mam 81 lat, ale jak zamknę oczy, to mam 18” (śmiech).

– Kiedy to się zmieniło?

– Jakies dwa lata temu, serce zaczęło o sobie dawać znać. Wiosną miałam zagrać w niemieckim horrorze o zapomnianych ludziach mieszkających w domu starców, którzy biorą odwet za swoje opuszczenie i popełniają straszne zbrodnie. Przyjechałam na zdjęcia do Krakowa, pierwszy dzień minął dobrze, a drugiego już od rana miałam tak złe samopoczucie, że miły pan z recepcji zawiózł mnie do lekarza. A stamtąd natychmiast zostałam skierowana do szpitala.

– Co się stało?

– Stawało mi serce, na sekundy przestawało bić. Położyli mnie na kardiologii i usłyszałam, że nic nie wolno mi robić, nawet się ruszać. A na dodatek równocześnie dostałam zapalenia płuc. Wszczepili mi rozrusznik, wszystko skończyło się dobrze, ale nie mogę już tak ciężko pracować na działce, chodzić wiele kilometrów po lesie, a tak to lubiłam.

Całe życie uwielbiałam sport, gimnastykę. A wszystko zaczęło się po wojnie w Koszalinie, od przypadkowej wizyty w cyrku. Tak mnie zafascynowały akrobatki, że chciałam spróbować



Fot. Ewa Kalinowska/TVP/East News

podobnie. Mieliśmy mały ogródek i robiłam tam mostek, szpagat, stałam na rękach. Łatwo mi szło. Moja babcia miała wtedy sześćdziesiąt kilka lat i wydawała mi się strasznie stara. Kiedyś przemknęła mi myśl: „Jak będę w jej wieku, to już chyba szpagatu nie zrobię”.

– A teraz jest pani od niej o 30 lat starsza.

– Niesamowite, prawda? Po maturze nawet chciałam studiować w Akademii

Wychowania Fizycznego. Ale los zdecydował inaczej. Kiedy przyszło zawiadomienie o terminie egzaminów, akurat byłam na spartakiadzie młodzieży we Wrocławiu.

Wróciłam do domu, mama dała mi list i czytam, że egzamin na AWF już się odbył pięć dni temu (śmiech).

Pojechałam na rok do siostry do Wrocławia. Był tam znakomity teatr, chodziłam namiętnie po kilka razy na te same przedstawienia. I pewnego razu

widzę w holu ogłoszenie o naborze do łódzkiej szkoły teatralnej. Pomyślałam: „Spróbuj, bo inaczej całe życie będziesz wyrzucała sobie, że mogłaś, a nic nie zrobiłaś”. I udało się.

Tak naprawdę to zawsze było moje ciche marzenie. Uwielbiałam chodzić do kina, kiedy wychodziłam, jeszcze długo czułam się taka jakby przydymiona, powolutku wracałam z innego świata do rzeczywistości. Pamiętam, jak oglądałam w kolorowych magazynach zdjęcia Greta Garbo, Marleny Dietrich, wielkich, wspaniałych gwiazd, i bałam się, że się do tego nie nadaję.

A czas w szkole teatralnej był jednym z najpiękniejszych w moim życiu. Byliśmy odizolowani od szarej, socjalistycznej rzeczywistości. Żyliśmy swoimi przyjaźniami, spektaklami, potańcówkami.

– Często wraca pani do wspomnień?

– Powiedziałabym, że one same przychodzą do mnie, czasem nieoczekiwanie. Nagle pojawia się jakiś obraz, zapach, smak. Do dziś pamiętam, jak przed wojną piekliśmy raz w tygodniu sześć bochnów chleba. Zapach świeżego chleba był cudowny – bardzo intensywny. Jak fantastycznie smakowały sery wytwarzane w domu.

Jakie piękne były nasze sukienki robione podczas zabawy z liści paproci...

Babcia tkła na krosnach, potem siadałyśmy z nią na piecu, za oknem sypał śnieg, trzaskał mróz, a u nas było tak ciepło, przyjemnie, paliły się naftowe lampy.

Niedaleko była linia kolejowa, na nasypach rosły poziomki i do dziś często mi się śni, że zbieramy je tam z siostrami.

Proszę zauważyć, że pamiętamy tylko małe urywki z naszego życia, reszta jest jakby przespana, a przecież istniała.

– A pani najszcześniejsze wspomnienia?

– Podróże z Teatrem Studio Józefa Szajny po całym świecie – Stany Zjednoczone, Australia, Izrael. Wspaniała przygoda, poznawanie innych kultur, mentalności ludzi.

Skończyłam studia w 1958 roku i takim pierwszym spektaklem, który nam otworzył furtkę na świat, był spektakl poświęcony piosenkom partyzackim „Dziś do ciebie przyjść nie mogę”. Jeździliśmy po wszystkich ośrodkach polonijnych.

Zawsze na zakończenie śpiewaliśmy „Czerwone maki na Monte Cassino”:

„Ta ziemia do Polski należy, choć Polska daleko jest stąd, bo wolność krzyżami się mierzy, historia ten jeden ma błąd”, nie wyszło mi jeszcze z pamięci.

Kiedy śpiewaliśmy „Czerwone maki” w 1969 roku we Lwowie, płakaliśmy na scenie, a widownia płakała razem z nami. Po koncercie podchodziły

starsze panie i pytały z nadzieją: „Kiedy ta Polska do nas wróci, my ciągle czekamy”.

Przypomniała mi się teraz podróż z teatrem do Paryża na początku lat 70. Usiadłyśmy z koleżanką na schodach do bazyliki Sacré-Coeur, miałam na sobie taką traperską spódnicę z irchy. Podeszła do nas jakaś dziewczyna, zapytała, skąd jesteśmy i skąd mam tę piękną spódnicę. Mówię, że z Polski. A ona zdumiona: „To takie rzeczy są w Polsce?”. Ja na to: „W każdym sklepie” (*śmiech*).

A spódnicę uszył mi fantastyczny krawiec z naszego teatru pan Miecio.

Ileż tych cudów świata zobaczyłam – ja, dziecko mieszkające przed wojną w leśniczówce dziadka na Kresach, gdzie cały mój świat był w zasięgu kilku kilometrów. Szkoła, kościół, domy koleżanek... Jak ten czas płynie...

**– Mówi pani o tym w nowym teledysku „Czas nie istnieje”. To trochę taka pani obrona przed uciekającym czasem?**

– Propozycja wyszła od autora tekstu Jacka Cygana i kompozytora Marcina Nierubca. Zgodziłam się na monorecytację z ciekawości i przekory: „Czas nie istnieje, czas nam się śni. Jestem złudzeniem, składałam się z chwil”. Piękne słowa, ale tak naprawdę od czasu nie da się uciec.

**– Czym jest dla pani czas?**

– Tym, czym dla całej przyrody, czymś naturalnym, co od zawsze jest i nic tego nie zmieni. Flirtuję sobie z czasem, rozmawiam z nim na wesoło: „Ty jesteś? Nie widzę cię, poczekaj trochę” albo mówię: „Przyjdź do mnie jutro” (*śmiech*).

Tak się teraz zastanawiam... ja nadal nie mam mentalności osoby wiekowej. Nigdy nie powiedziałabym: „Mam już tyle lat, nie mogę czegoś tam robić”.

A wiele znacznie młodszych ode mnie kobiet po przekroczeniu jakiegoś granicznego dla nich wieku zaczyna się nim tłumaczyć. To zupełnie bez sensu, kobieta sama siebie ogranicza. Nie mogę czegoś zrobić, bo nie lubię, nie chcę, jestem chora – to rozumiem, ale tylko dlatego czegoś „nie mogę”, że skończyłam ileś tam lat?

Nie lubię się też skupiać na swoich dolegliwościach. Jak coś mnie boli, to myślę, że kiedyś przestanie. Oczywiście nie namawiam do lekceważenia zdrowia, z chorobą trzeba się rozprawić.

**– Zawsze mówiła pani, że nie wyobraża sobie życia bez pracy. Na emeryturę odeszła pani z teatru tuż przed siedemdziesiątką, modelką została przed osiemdziesiątką.**

– I na szczęście ciągle mam pracę. Filmy, sesje zdjęciowe, kampanie reklamowe – to wszystko przedłuża moją egzystencję. Cieszę się, kiedy kobiety podchodzą do mnie na ulicy, w tramwaju i mówią, że poprzez mój przykład zaczęły wierzyć w siebie, nie

zamartwiać się upływem czasu, odważniej się ubierać.

Jeżeli tylko nie dopadnie nas jakaś choroba, w każdym wieku można żyć pełnią życia. Ważne, żeby ciągle była w nas ciekawość świata i ludzi. I żebyśmy robiły to, co sprawia nam przyjemność.

**– Wróciła pani kiedyś do miejsca swojego dzieciństwa?**

– Nie, nigdy. Jako jedyna z rodziny. I była to świadoma decyzja po pewnym wydarzeniu z czasów szkoły średniej. Byłam w 9 klasie, kiedy pojechaliśmy na wycieczkę do Wambierzyc, jest tam słynna bazylika i droga krzyżowa z XVIII wieku.

Wtedy zrobiły na mnie ogromne wrażenie. Kilka lat później, byłam już na studiach, pojechaliśmy do Wambierzyc z siostrami. I nagle widzę, że wszystko, co wydawało mi się takie piękne, monumentalne, wiele straciło. Strasznie się zawiodłam.

I wtedy powiedziałam sobie, że już nigdy nie będę konfrontowała z rzeczywistością swoich wcześniejszych zachwyłów.

A wracając do czasów dzieciństwa, po wojnie mama zdecydowała, że wyjeżdżamy do Polski. Wiadomo było, że na naszych ziemiach będzie Związek Radziecki. Miałam wtedy 12 lat, przeczuwałam, że wyjeżdżam stamtąd na zawsze.

Było tuż przed Bożym Narodzeniem, patrzyłam w rozświetlone okna domów, ludzie się krzatali, stały już choinki, a ja czułam się jak opuszczone, biedne dziecko z powieści Dickensa. I był we mnie jakiś lęk, a może raczej smutek, przed tym, co nieznane. Mieszkał się ze smutkiem z czasu wojny, kiedy czekałmy co noc na wywózkę na Sybir, bo jako kułacy byliśmy od początku wkroczenia Rosjan na liście. Spałam w filcowych walonkach, ciepłym płaszczu, cały czas gotowa, że przyjdą po nas. Przychodzili nocą i dawali pół godziny na spakowanie się.

**– Wojenne lęki do dziś są w pani?**

– Niedaleko od nas we wsi mieszkało kilka rodzin żydowskich. Było ciepłe lato, po sianokosach, Niemcy spędzili ich do stodoły – dzieci, starców, kobiety.

I wszystkich spalili. Nigdy nie zapomnę gęstego, czarnego dymu, nieprawdopodobnego swądu spalenizny. Jak strasznie ci ludzie musieli cierpieć, zanim przyszła śmierć...

Wtedy powiedziałam sobie, że ja nie chcę żyć, nie zgadzam się na taki świat. Miałam żal do Boga, do mamy. Bardzo długo to we mnie tkwiło. Taka czarna płachta, która mnie cały czas dusiła. Zaczęła odchodzić już w Polsce, kiedy zajęłam się sportem. Bieganie, gra w siatkówkę bardzo mi pomogły.

Teraz, jak patrzyłam w telewizji na straszne zbrodnie w Ukrainie, na tamte cierpiące dzieci, powrócił mój dziecięcy lęk. Po tylu latach zaczęły wracać obrazy zrujnowanej Warszawy,

jaką widziałam, kiedy przejeżdżaliśmy pociągiem repatriacyjnym w 1946 roku. Wcześniej znałam Warszawę tylko ze zdjęć, które przed wojną przysyłała jedna z sióstr ojca. Damy w kapeluszach, tramwaje, piękne ulice i nagle wjeżdżamy, i nie ma nic, tylko gruzy. To było tak strasznie bolesne.

I znowu ożyło we mnie. Nazwałam kiedyś Warszawę rozstrzelanym miastem, i takie są teraz miasta Ukrainy.

**– Moja mama, o kilka lat młodszą od pani, mówiła, że gdy patrzy na tragedię Ukrainy, wracają wspomnienia z powstania warszawskiego, kiedy ukrywała się przed bombami w piwnicy.**

– Jakby rzeczywistość nam się powtórzyła. Jak ja doskonale rozumiem pani mamę. Coś takiego jest w naturze człowieka, że wyjątkowe traumy zostają w nas i przechodzą nawet na następne pokolenia.

**– Robi pani rozrachunki z życiem?**

– Nie, jestem z życiem pogodzona, było i jest dla mnie łaskawe. Otrzymałam naprawdę dużo, wiele było szczęśliwych zrzędzeń losu, czegoś, co nagle przychodziło do mnie i mi pomagało albo rozwiązywało problem.

Jest takie powiedzenie, że „każdy jest kowalem swego szczęścia”, a to nie tak, bo czasem niektórych kowali szczęście omija, gdzieś tam przejdzie bokiem, i nic nie można na to poradzić.

**– Z mężem spędziła pani ponad 60 lat. Minęły cztery lata, odkąd go nie ma. Oswoiła pani nieobecność?**

– 20 lutego minęły cztery lata... Jest taka część życia, której nie umiem nazwać, określić, bo... to jest i bolesne, i bardzo smutne, i czasem szukam winy w sobie.

Powiem uczciwie, że staram się tego tematu nie poruszać. Wszystko jest jeszcze za świeże, a może zawsze takie będzie.

**– Nadal jeździ pani na swoją działkę niedaleko Warszawy?**

– To mój drugi dom od wiosny do końca jesieni, w lesie między Skierniewicami a Żyrardowem. Do sąsiednich zabudowań jest dość daleko. Wokół cisza, spokój, czyste powietrze. Ubiegłej zimy ciągle włączał mi się alarm. Pojechałam wiosną i okazało się, że zagnieździły się myszy i harcowały sobie w najlepsze.

Ileż ja znalazłam łupinek po orzechach, rozsypanych woreczków z kaszą. Udało mi się to opanować z pomocą siostrzenicy.

Przeczekam zimę w Warszawie, mam nadzieję już bez alarmu z powodu myszy, i znowu pojedę wiosną. Włożyłam w to miejsce bardzo dużo pracy. Sadziłam drzewa, kwiaty, koszami znosiłam ziemię z lasu. Sprawiało mi to ogromną przyjemność.

A zaczęło się po siedemdziesiątce, kiedy odeszłam z teatru na emeryturę.

**ALINA MROWIŃSKA**